



Ewa Matopolska

Cztery sny



Cztery sny


Cztery sny

Ewa Małopolska

Jirafa Roja
Warszawa 2010

© Copyright by Ewa Małopolska, 2010

© Copyright by Jirafa Roja 2010

Redakcja: Hanna Kukwa
Korekta: Hanna Kukwa
Łamanie: Tatsu  tatsu@tatsu.pl
Rysunek na okładce: Ewa Małopolska
Druk i oprawa: Drukarnia Naukowo-Techniczna Oddział PAP S.A.
www.dnt.pl

ISBN 978-83-62948-39-0

www.jirafaroja.pl

Wydanie I
Warszawa 2010



Spis treści

Krótką historia	9
Cztery sny	39
Cegielnia	65
Ludzie z Sadowej	101

*Książkę tę poświęcam
Mamie, Tacie, Miškowi, Gosi, Eli oraz Piotrkowi.
Ludziom, bez których mój Dom byłby pusty.*

KRÓTKA HISTORIA

— Mam dwadzieścia dwa lata — mówiła, pytana o wiek. — Ale ja jestem bohaterką niepewną, nie wiadomo, co się ze mną stanie.

— Jak to?

— Jak to się wszystko dalej potoczy...

Taki sobie nihilistyczny ogólnik. Wieje dekadentyzmem i jakąś zmanierowaną podniosłością przy okazji także. Ale jak nie ten patetyczny „dziwantyzm” to potem już całkiem obskurne klimaty. To miała być krótka historia o kilku zaledwie osobach i kilku tylko miejscach. „Krótka historia o byciu gdzieś — mimo. I o umieraniu”.

— Chciałam się z domu wyprowadzić — zaczęła i od razu zwróciła mi uwagę, że to się wypowiada z takim prawie niezauważalnym, litościwym uśmiechem. — A nie tak? Ja przecież wiem, że ty się teraz ze mnie śmiejesz, tylko na głos jakoś ci nie wypada.

Chodziło o to, żeby wyprowadzić się na stałe, bezpowrotnie. Żeby do niczego jej już więcej nie namawiano. Denerwowało ją ciągle przypominanie o obowiązkach, pieniądzach, zaświadczeniach, papierach...

— Człowiek czasem cierpi na drgawki. Pewne rzeczy go drażnią, zwłaszcza kiedy jest młody — mówiła, gasząc papierosa na zakrętce od słoika. — Wydawało mi się wtedy, że wystarczy się

gdzieś zapodziać i cała reszta świata, ta zła reszta, po prostu zniknie. Pstryknę palcami i wszystko wyparuje jak główka siarki na zapałce. Że kiedy się wyprowadzę, reszta przestanie mieć znaczenie. Trochę jak z dzieckiem, które chowa głowę pod poduszkę i dlatego, że samo nic nie widzi, myśli, że pozostaje niezauważone. Gdybym się wyprowadziła może i potrzebne byłyby pieniądze, papiery, ale by się o tym nie mówiło; może byłoby się spokojniejszym. Takie rzeczy myślał sobie wtedy człowiek.

Tak, były nagrania.

Tak się żyło... Byliśmy po maturze, moi przyjaciele szykowali się do przeprowadzki; większość wyjeżdżała gdzieś na zachód, bo tam podobno były pieniądze; w kraju trochę nie opłacało się wtedy siedzieć. Zresztą dalej się nie opłaca. Może też trzeba było wyjechać? Nie wiem, nigdy tego nie zrobiłam. Może tak naprawdę nie chciałam nigdzie z nimi jechać, może męczyła mnie już ich obecność; to byli energiczni ludzie, szybko podejmowali decyzje, łatwo zmieniali zdanie. Lubili dobrze się bawić. Tak czy inaczej, kilka dni przed ich wyjazdem, obudził się we mnie gliniany człowiek. Bał się samotności. Mówił: „istnieje prawdopodobieństwo, że, gdy wszyscy już odejdą, staniesz się do szpiku kości kamieniem. Będziesz jak zaplombowana skrzynka, stwardniejesz do tego czasu na beton. Nikogo do siebie nie wpuścisz, przestaniesz nawet zmieniać wyraz twarzy. No i jeszcze zobaczysz, źle się to dla ciebie skończy”. Takie zakorkowanie rzeczywistości, jeśli wiesz o czym mówię. Odklejenie od niej jakiegoś kawałka: mnie razem z całym moim, właściwie, wielkim niczym.

Noc. Leżenie na murze. Gapienie się w niebo. Sen.

Potem? Potem nie wiem. Właściwie nic. Wzruszenie ramion. Ewentualnie rzucić się w danse macabre, w jakieś rozpaczliwe pogo na złamanie karku, przesiąknąć smrodem tytoniu i siarki. No i masz: historia do opisanie. Wielki upadek. Teraz możesz już śmiać się głośno, mnie się chce śmiać na przykład, jak sobie

teraz o tym pomyślę. A na serio to nie wiem. Może zsunąć się z muru, żeby było widać tylko kawałek uciekającego po ścianie płaszczka, tak jak w westernach, a potem zniknąć. Beznamiętnie obserwować krew, staczającą się z nosa. Kaszleć, pochylając się w kącie pokoju. Takie sobie... Marzenia.

On kaszlał i jemu krew staczała się z nosa. My tego nie rozumieliśmy. Na początku. Ja nie rozumiałam. P. chyba wiedział więcej, ale też nie wszystko, zresztą nic nie mówił. Żyliśmy w świecie ciszy i domysłów. Każdy ma swoje sekrety i my mieliśmy swoje. Ale Kogut miał inną tajemnicę. Właśnie taką. Polykającą tych, którzy stali i patrzyli z zaciśniętym gardłem.

Gliniany człowiek wyrzucił ze swojego życia pieniądze, zaświadczenia, papiery... I innych ludzi. Do miejsc takich jak to właśnie prowadziła ta droga. Mnie to nie boli, żebyście sobie nie dorabiali ideologii. Mnie tu jest dobrze. Człowiek tak bardzo stara się ochronić siebie przed cierpieniem, że nie jest już w stanie zbudować żadnych głębszych relacji. Nie ryzykuje, bo się zwyczajnie wypalił. Ja i mój świat nakryliśmy się kloszem. Bo tak to jest: mówisz innym, co lubisz a czego nie lubisz i nagle stoisz sam, w pełnym świetle. Wszystkie reflektory na ciebie, a oni się gapią. Ludziom się wydaje, że cię znają, zaczynają mówić o tym innym osobom, że cię znają i jak. Ani się obejrzyysz, jak staniesz się w ich rękach kartą przetargową. Ich własnością. Będą mogli o tobie opowiadać i zyskają prawo do twojego życia. Tak to jest, wiadomo, człowiek nie ma prawa opowiadać o innych ludziach. Nie ma prawa zaglądać w ich historie i sprzedawać je za kilka minut uwagi. Dlatego cię nie lubię. Człowiek ma prawo opowiadać wyłącznie o sobie samym.

Nie lubiła mnie. Tak mówiła, mimo że wcale mnie nie znała. Ale ja się jej wtrącałam w życie, to ją denerwowało. Chociaż sama wyraziła zgodę na tę rozmowę. Zaprosiła mnie na ten ich skłot.

Była czasem arogancka. Niemiła, to prawda. Przekazywała mi tę swoją opowieść, jakby robiąc mi przysługę. Łaskę, rozumiesz. Ale to nie robiło wrażenia. Taki zawód, ja pracuję w nim od kilkunastu lat, więc sprawy tego rodzaju spływają już po mnie jak woda. Mam znajomego, który w tym siedzi... No, nie tak długo w każdym razie i jemu takie rzeczy przeszkadzają. Tłumaczę mu: Wojtek, ty się nie przejmuj, bo skończysz na proszkach albo cię z tej roboty wyleją, albo sam nie wytrzymasz. Tu trzeba mieć pazur, żeby się utrzymać na samej górze i zdobywać najlepsze historie. Tych szmatławców brukowych jest przecież teraz mnóstwo, a to wszystko konkurencja, nawet dla porządnej gazety. Zresztą, żeby trafić do porządnej gazety, trzeba mieć najlepsze historie i kółko się zamyka. Trzeba mieć to coś, nie dać się. Porządnych nie ma teraz wiele na rynku, raz, że się nie opłaca — takie wysublimowane przygody, bo dla kogo to? Tej elity to ile jest teraz w naszym kraju? No, nie takie znowu zatrzęsienie, to jest dziura, mimo wszystko, i trzeba sobie z tego zdawać sprawę. Trzeba czymś zająć maluczkich i to jest ta ich misja i wizja. Chcesz w ten sposób? Wystarczą ci takie tanie historyjki? To proszę bardzo, jest się gdzie zacząć. Ale tu? Tu trzeba inaczej, to już nie ten poziom. A poza tym równać można tylko w dół i ot, po sprawie.

Jemu nie wróżę kariery.

Ale ona to myślała, że jest wyjątkowa.

A ten gliniary człowiek, ten, który obudził się we mnie, marzył właściwie tylko o wąskim łóżku, kocu i zwykłym, prostym stole. O kartonowym pudle, w którym mogłyby zmieścić się jego książki i trochę ubrań. Marzył też, żeby wyjechać. Więc na początek jakieś studia, akademik, legendy, coś tam... Cudze plany. Mówiono, że to niby życie czołga się takimi ścieżkami i trzeba się go trzymać za ogon, trzeba podążać za tym przygruntowym płazem. A potem się okazało, że ludzki umysł to tylko program, który można kodować i mój tak zakodowano; co mu tam nakła-

dziesz, mówił P. — przyswoi. Czasem nawet takie bzdury.

Było kilka pomysłów, ale nie do końca to wyszło. Znajomi mi się rozpetzli po świecie, Bóg im zapłać, nie było z kim zarezerwować pokoju. To może nie jest najszczególniej zabawne, może nawet czasem zwyczajnie boli. Ale ten gliniary pacjent wewnątrz mnie to jest z natury cwaniak i bumelant, chciał dostać kogoś z przydziału, tak na serio, i pokój też z przydziału. Może czasem lepiej, kiedy to przypadek decyduje, a nie my sami, bo w sumie to co my tam wiemy o życiu... Ja wtedy nic nie wiedziałam.

To zresztą i tak wszystko jedno, chciało się tylko wracać wieczorami do pokoju i zajmować się swoim łóżkiem i stołem, i swoimi książkami, obcować z łóżkiem i stołem...

Nie, moja matka tego nie rozumie. Zwyczajnie. Nie rozumie, po co ten pustostan, czemu płaczemy się z koleżanką po mieście i szukamy czegoś, co nie dość, że jest cudze, to jeszcze w dodatku do niczego się nie nadaje. Leży na wersalce, odpoczywa po ciężkim dniu pracy w szkole i na korepetycjach. Przykrywa się buriem polarem. Ciężko jest się przedostać do tego jej błękitnego świata półsnu. „Ale ja nie rozumiem do czego to wam potrzebne...”. Kiedy ze mną rozmawia, zamyka oczy. Leży na tej kanapie i po prostu, rozmawiając ze mną, zamyka oczy, jakby miała za chwilę odpłynąć zupełnie, jakby mi najpierw, jeszcze przed tym wszystkim, chciała powiedzieć, że ta rozmowa to tak, wiesz, no rozmawiamy, ale ona ma pewne zdanie, którego nie zmieni, w sumie nie dlatego, że nie chce, tylko „no tak jest, no, co poradzisz?”. Istnieją pewne fakty i pewne prawdy. W takich sprawach zdania się nie zmienia. Ale ja odpowiadam, rodzonej matki nie zlewam. „Żeby tam mieszkać, mam”, „żeby prowadzić działalność”, różnie. Jaką działalność? No też różną właśnie, kulturalną, społeczną. A, działalność to jeszcze. Chociaż działalność zasadniczo i tak nie przynosi

żadnych efektów — jest bez sensu, po prostu, w związku z tym ona „nie rozumie”.

Ale Masa Krytyczna?

— I co ty myślisz, że te wszystkie urzędaszy przesiądą się zaraz na rowery?

— Food not bombs, mamó.

— A w jaki sposób... Przez to będzie mniej bomb, tak? Nie rozumiem...

— Uchodźcy? No Czeczenia, Kaukaz — tłumaczę się jak bury osioł.

— Nie słyszałam.

— O Czeczenii?

— A tak — przytakuje nagle. — O Czeczenii słyszy się w telewizji to i owo.

Czasem nie wierzę, że żyję. Myśl, że mogę być niewidzialną duszą zmarłego ciała, wydaje się nieraz bardziej realna niż tępy ból, który się czuje, kiedy dostanie się pałą przez łeb.

Błąkamy się z Ba-bą po świecie i ten świat jest milczący. I dobrze. Nie atakuje. Nie pacyfikuje. Nie usiłuje przekonywać. Nie nalega. Nie ma w nim nikogo oprócz nas. Idziemy przez pustynię, pociętą na pasy liniami torów kolejowych, przez czerwony i rudy, przybrudzony krajobraz, przez wysypisko kamieni, które, gdy zapada się w nie głan, przesypują się i wydają odgłos pustki, jakby były próżnymi naczyniami. Ich szelest pod butami przypomina też dźwięk wody w potoku. Jak skacze po kamieniach. Ba-ba obejmuje rękami Zdechlaczkę — termofor w kształcie pluszowej krowy. Przytula go do piersi, do szyi opatulonej w czarno-biały szalik. Przeziębła się, za długo chodziła po powietrzu. Teraz wieczorami i nocą bywa już bardzo zimno, a drewniana budka, w której można by napić się piwa, kiedyś sprzedawali tam lody włoskie — ta budka ma cienkie ściany. Tył jest prawie cały odkryty i od tamtej strony trochę wieje.

— Ta huta stała pusta — tłumaczyła. — Była molochem. Wielokim gigantem. Ogromna, przysadzista, obok stał komin.

Ale tuż za nią działał tartak i ludzie stamtąd pilnowali budynku przed naruszeniem ze strony potencjalnych skłotersów.

— Skłotersów! — lubiała szydzić. Mówić cudzym głosem. — Bezdomnych, żulików, brudasów — mówiła. — Paskudnych śmierdzieli — chichrała się, zupełnie jakby nie mogła powiedzieć zwyczajnie o tamtych ludziach, przez których nie mogły sobie zająć huty, że są „skurwysyny”, „ciecie”, czy co tam jeszcze. Przecież takiego używała języka.

Wiał więc wiatr i ominęłyśmy hutę, i tartak na oczach pracujących w nim ludzi, którzy na chwilę oderwali się od desek i stanęli w szeregu, aby sprawdzić, czy pójdziemy dalej.

Na Kępę trafiliśmy miesiąc temu. Kępa 251. Jest mniejsza niż huta, ale wystarczająco duża. Ma uchyloną furtkę, widziałaś zresztą, przez którą wchodzi się do zarośniętego chwastami ogrodu. Jak się to uporządkuje, będzie całkiem, całkiem. Są jeszcze powybijane szyby w oknach. Ale to na razie, jutro będziemy zabijać deskami, już skombinowałyśmy do tego materiał. Właściciel budował ten dom dawno, dawno temu, ale zmarł i nie dokończył, i nie wiadomo, do kogo teraz ten budynek należy. Do nas. Chyba.

Założyłyśmy z Ba-bą skłot. To jest zupełnie inny świat, nowy — ciągle, nieoczekiwany, obiecujący, tętniący życiem. Może jeszcze nie, ale wkrótce. Za wcześniej przyszłaś, to nie zobaczysz. Chyba że nas później odwiedzisz. Albo i nie. Otworzymy to miejsce, tu będzie inaczej niż z Kogutem i P., trochę się to wszystko rozrzedziło, człowiek już jest spokojniejszy i nie potrzebuje się tak bardzo chować. Będą znajomi, przyjaciele. Może Mariusza odnajdę albo Kowala; kiedyś chcieli się wbić w taką akcję. Sporo się będzie działo.

— No, ta komuna, wiem — mój brat sobie sam odpowiadał na pytanie „co ty w tym widzisz”, kiedy jeszcze dzwonił z Irlandii.